Nr. 46. We Lwowie dnia 13. Listopada 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Jan Kasprowicz: „Krzak dzikiej róży".

Nowy tom dał nam Kasprowicz. Same sonety. Odwracamy kartę z portretem autora. Portret może nie z zupełną ścisłością wierny, ale z utrwalonym charakterystycznym wyrazem tej niepospolitej głowy. Twarz chmurna, niemal groźna, z jakąś skupioną w sobie mocą, mały kąt włosów, wysunięty nad twardem czołem, zwichrzony, jakby tym smugiem przeciągnęła jakaś nawałnica — i głębokie oczy, bijące ukrytym żarem. Ta sama twarz, ta sama moc, w niej uwiązana, wyziera z tych kart. Kasprowicz jest nawskróś męski i krzepki. To najogólniejsze i najbardziej istotne wrażenie, jakie on zawsze sobą daje. Poprostu jest on imponujący tą swą krzepkością, która go całego rozpiera. Tkwi w nim moc i siła, która przykuwa i zmusza do ugięcia się przed sobą, zarówno, gdy dusza jego, upojona zachwytem, rwie się orlim lotem, jak i wtedy, gdy ogarnia ją mrok, żal i melancholja sił starganych. Bo i na nią padł cień wielkiego smutku i nieraz gnie się ona i jęczy pod wichrem bólów ludzkich „w echo tych cierpień, co ranią pierś świata", i omdlałą głowę chyli i „łka żądzą ciszy". Ale właśnie jej moc i krzepkość wewnętrza czyni tło tragizmu tych chwil, gdy ją rozpacz obejmuje żelaznemi ramiony, szerszem i bardziej głębokiem. Z innym nastrojem w duszy stoimy przed potrzaskanymi burzą dębami, niż przy pogiętych, jasnych i wysmukłych brzozach. I oto łączy się z tem, zdaje mi się, pierwszy znamienny rys Kasprowicza. Dla tej organizacji silnej ból ma znaczenie prawie dodatnie — jest jednem ze źródeł życia. Zapewne, iż nie jest to rzecz zupełnie nowa — dowodem choćby tylekroć używana z rozmaitymi warjantami poetyczna alegorja muszli, w mękach perły rodzącej. Atoli u Kasprowicza życiodawcza moc cierpienia jest opanowana jasną, wyrazistą świadomością, i to podkreśla w dziwny sposób jego pierwotną siłę, nadaje jej jakąś tęgość i żywiołową niespożytość. Już dawniej, we wstępie do „Anima lachrymans", złożył hołd boleści, błogosławiąc jej, jako macierzy żywota. Tu, teraz, znajdziemy także coś podobnego:

> O rozśpiewany, o szumiący lesie!
> Wiem-ci ja dobrze, że ten wichr, choć zrywa
> Twe i me łono, choć ból z sobą niesie,
> Że snać go dusza nie wytrzyma żywa,
> Nie jak wróg na nas z dzikim świstem spływa,
> Ale najszczerszym przyjacielem zwie się,
> Bo najszumniejsze melodje dobywa
> Z mej i twej lutni, o rozgrany lesie!

Jego pieśń z bólu wyrosła nie ma w sobie bezsilnych obumierań, ale stąpa wśród mroków dumnie, niosąc w sobie siłę życiową.

> . . . . . Naszą pierś rozpiera ból,
> Lecz w tym bolu nie wyczerpań, nie rozkładu mieszka [jad:
> Życie drga w nim mocą mocy, co wśród smutnych [idzie pól
> Chmurnie, groźnie i stanowczo, by stracony zdobyć [świat.
> Idzie cicha... nie dźwięk fanfar, nie tryumfów głośny [wrzask
> Towarzyszy jej w tej drodze... Idzie skromna i na twarz
> Nie przywdziewa ni proroków, ni kapłanów dumnych [mask.
> Idzie jako prosty żołnierz... w szarym płaszczu... Idzie [w dal
> Niewstrzymana... bo iść musi, choć ma jęk za przednią [straż,
> A za sobą melancholję i tęsknicę, cień i żal...

Inny pierwiastek charakterystyczny, już głębszy, szeroko obejmujący psychiczną indywidualność i nadający jej fizjonomję odrębną, tkwi w stosunku Kasprowicza do natury. Jest

nim, nie psychiczne, ale, że tak powiem, organiczne z nią zespolenie. Bywały nieraz u niego momenta panteistycznego, shelleyowskiego stapiania się z przyrodą, jak „W turniach“, gdzie dusza jego rozpływając się w ekstazie, ginie w fali szczytów, oblanych powodzią różnobarwnych skier. Poza tem przyroda nie jest mu obcem istnieniem, ale czemś bratniem, złączonem z nim jakiemś pokrewieństwem wspólnego początku. On dla niej nie jest nigdy obcym bytem, który przybywa szukać na jej łonie nirwanicznego zaniku w jej ogromie, lecz jakby z krwi i kości synem wielkiej macierzy, mającym za sobą tę samą odwieczną przeszłość co i ona, połączonym z nią umiłowaniem serdecznem, które, pozwalając mu czerpać z niej ciszę ukojeń i pierwiastki życia i siły, każe mu w zamian brać w siebie jej bóle, smutki — całą jej duszę. Jak dawniej „Przy szumie drzew“ dusza jego zasłuchana w pomruki boru, wcielała się weń, stając się jednem z olbrzymich drzew, by szumieć wraz z nim w takt starego, runicznego hymnu, tak teraz ten organiczny związek z naturą wykwitł czterema sonetami:

Strunę twej harfy, o szumiący lesie,
Dech ów porusza, co był w onej porze,
Gdy pod budowę wszechświata przyciesie
Pramistrz w niezmiernym układał przestworze —
. . . .
To samo w on czas spłodziło nasienie
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Dwie siostry bliźnie: twą i moją duszę.

Jego pieśń z ziemi wyrosła — jego dusza jakby jej sokami wykarmiona. To jeden z rysów najbardziej pierwiastkowych i sięgający najdalszych głębin istoty jego indywidualności. Może przez to wspólne pokrewieństwo z ziemią w początkach, dawniej jeszcze, gdy Kasprowicz najchętniej obracał się wśród tematów ludodowych, poezja jego była najszczerzej ludową, w swej istocie najbardziej bezpośrednio zbliżoną do istoty ludu, podobnie z ziemi wyrosłego i z nią zżytego. Później, gdy pieśń jego roztoczyła się obszerniejszymi kręgami, rozszerzyły się tylko ramy owego zasadniczego rysu — po nad umiłowany „zagon chłopski“ — rdzeń pozostał ten sam. Czuje się u niego zawsze gorące tchnienie matki-żywicielki, chociażby w rozlubowaniu się w obrazach łanów, łąk, pól i w używaniu słów, porównań, przenośni z roli wziętych. Z tą ziemią, otoczoną świętością symbolu, łączy go jakby ślub tajemniczy:

Ziemio! ziemio! smutna ziemio! Snać opuścił cię sam [Bóg,
Lecz przeklęta myśl niech będzie, coby chciała szepnąć [mnie,
Abym zboczył choć na chwilę z twych żałości pełnych [dróg!

Tej duszy, pełnej tytanicznych porywów, duszno wśród nizin, brak jej innego żywiołu, w którymby nią wstrząsały wrażenia tak silne, jak ona. Rzuca się w wirchy, tonące w chmurach, zawisa wśród olbrzymich szczytów i przepaści i drży pod ogromem zwieszających się złomów granitowych. Może właśnie wskutek owej ogólnej łączności Kasprowicza z naturą, punkt ciężkości, z którego płynie właściwa siła wrażenia, tkwi nie w opisach, bardzo zresztą poetycznych i pełnych pięknych obrazów, ale w przenikającym je oddechu górskiej przyrody.

Odzywa mi się w pamięci jego „W turniach“. Mamy we współczesnej poezji mnóstwo przepięknych sonetów tatrzańskich — jednak mniej więcej w przeważnej ich części, to, co w nich zostało oddanem w czarownej nieraz formie, przeszło bądź co bądź przez filtr kunsztu i stąd nieraz po wszystkich wzruszeniach, jakie one dać mogą, gdzieś z głębi zakątków wstaje myśl, że ostatecznie „tout ça, c'est de la litterature“. Nigdzie zaś tak, jak w tych wierszach, pozbawionych formy, krótkich, urywanych, jakby wyrzucanych w improwizacji, nie czuje się tak bezpośrednio dzikiej i tajemniczej duszy gór, szalonego pędu, rozrywającego piersi w ogromie chłodnej, przejrzystej przestrzeni powietrznej, rwania na szczyty, zapierającego dech w piersiach, brania się za bary z naturą i upojenia zwycięzkiego. To cała epopeja. Podobne wdzieranie się w podniebny świat, pełen przepastnych i zawrotnych głębin — tylko ujęte w żelazne ramy sonetu — mamy i tu— w obrazach z Alp i Tatr. Dusza poety, pełna ekstatycznych uwielbień, tonie wśród nagich skał i szczytów. Ze ściętych krzesanic, z rozlanych wód jezior biją na nią zrazu jakby zdroje ożywcze. Nad jeziorem Czterech kantonów owiewa ją „urok Przyrody i duch Winkelryda“ i „w moc i hart bogata“ idzie dalej wśród zrębów skalnych, złomów, lodowców, wśród mgieł i blasków, brodząc „wraz z śmiercią w kaskad, przepadlisk i lawin powodzi“. Jakaś straszna groza przenika sonety „Na lodowcach Aletschu“. Po nich — przecudne, owiane dziwnym smętkiem „jezioro Maerjelen“, na którego zimnych, lodowatych toniach „stado kier białych“ „drzemie, jak śnieżne, uśpione łabędzie“ — i „Na jeziorach włoskich“ — dwanaście sonetów z sobą splecionych, utkanych z blasków świateł słonecznych, igrających w ciszy przezroczu po lazurze nieba, utopionego w jasnych wodach jeziora. Wymieniam tylko niektóre momenta z tego pochodu w Alpach. W Tatrach znowu powstał wstrząsający swym powiewem, zawodzący w końcu tragicznym jękiem „Wiatr halny“ i „rozmiłowana, roztęskniona“ „Cisza wieczorna“. „Taniec zbójnicki“ posiada za sobą wiele innych utworów, osnutych na tym motywie. Ma w sobie twardy rytm pieśni góralskich, wyrzucanych z zdrowych piersi i odbijanych echem po ostrych granitach. Nieco odmienny ton wreszcie wnosi w poezję Kasprowicza „Krzak dzi-

kiej róży w Ciemnych Smreczynach“— cztery sonety, złączone jednym symbolicznym obrazem dzikiej róży, rozkwitającej przy limbie zwalonej, próchniejącej.

Jest jedna rzecz osobliwa w przeważnej części tych wierszy z Alp i Tatr: oto wszędzie widzi się samego poetę, ma się ciągle wyobrażenie jego pochodu i tegoż momentów, notowanych — sonetami. Kasprowicz jest bardziej refleksyjnym, niż po malarsku opisowym. Refleksyjnym — w znaczeniu przewagi, z jaką się wybija na wierzch jego wewnętrzne życie duchowe. Obrazy nie są od niego oderwane, nieosobiste, lecz w nich jest on sam, dusza jego, wyosobniona, ciągle czujna, czasem upojona lub wpadająca w zadumę. Drzy ona w tych opisach, są w nie wplecione jej rojenia, smutki, tęsknoty, czyniąc je w ten sposób już nie zwykłem odbiciem jej życia, pozwalającem pośrednio, przez ogólny nastrój, dochodzić jej stanów w chwili koncepcji obrazów i ideji, ale wprost bezpośredniem otwartem wypowiadaniem się. Jest to prawie liryczny pamiętnik duszy.

Inna część zbioru posiada podkład ideowo-filozoficzny. Na tle górskiem, ponad ostrymi szczytami rozwiesił w niej poeta tkankę swych rojeń. Duch ludzki, zrzuciwszy brzemię ciał — zawisa nad przepaściami, gdzie śmierć spoczywa blada. Wpatrzony w ogromy, „stapia się z bytem bytów“. W dole staje widmo wiekowego tłumu dusz ludzkich, wspinających się wśród jęków rozpaczy, bolesnych złorzeczeń i fali łez własnych, powoli rosnącej, ogarniającej wszystko swym zalewem. Widzenie znika — duch, „co miał wieczności przywidzenie“, do ciał wraca i „czuje trwogę — trwogę...“ Dwie inne części, osnute na motywach wedyckich, wkraczają w sferę metafizyki poetycznej. Stary, przedwieczny temat odbił się w nich potężnym, wcale nie banalnym akordem — tragizmu męczeństwa, dokonywującego się pod zimną obojętnością „słonecznego Waruny... co z głębi cichych przedwieczornych łun wychyla cichą twarz — cichą okrutnie“. Przy końcu tomu jest jeszcze dodany fantastyczny poemat „Na wzgórzu śmierci“. Wśród tłumów zebranych na Golgocie przy ukrzyżowaniu Chrystusa unosi się dusza z raju wygnana, kochanka Lucyfera, uwięziona przy nim rozkoszą upojeń, jakie jej płyną od niego. Patrzy z drzeniem jak wcielenie Dobra, Prawdy i Miłości ginie za nią na krzyżu, ale iść za nim nie może, bo tęsknota pragnień wiąże ją z odwiecznym kochankiem. Pełna lęku i trwogi, rzuca się w jego objęcia, żądna zapomnienia w gorących pieszczotach i dreszczu upojeń.

Poza symboliczną głębią są w poemacie miejscami obrazy o silnem naprężeniu dramatycznem z tłem nadzwyczaj żyjącem i plastycznem.

(Dokończenie nastąpi.)

Tadeusz Sobolewski.

Syn Majora.

(Studjum z natury.)

Ilekroć myślą do Litwy się zwrócę, doznaję nasamprzód wrażenia, jakbym ręką uchylała zasłony, przysłaniającej łoże śmiertelnie chorego człowieka. Niepokój, obawa, ból, a przedewszystkiem ów nękający, znany od dawna smutek, przejmuje wskróś duszę, gdy stanąć tak na progu tego ciemnego, ciszą zasłanego przybytku. Jeśli postąpię dalej, wiem, że nie usłyszę już jęków, ani szamotań się, — wiem, że ten olbrzym leży już bezsilny i beznadziejny napozór, że na pożółkłych licach zobaczę krople zimnego potu, a na otwartych, spieczonych wargach oddech nierówny i słaby. Obrzękłe, opite muchy gromadnie włóczą się bezkarnie po wyniosłem, nieugiętem niegdyś czole, siadają kupkami w kącikach ust, tych ust, z których tak niedawno miody wszechwładnej pieśni na cały kraj płynęły. Ujrzę, jak z ciemnych kątów, ponad wezgłowiem i z nad nóg chorego wysuwają się ciemne, nietoperzowe straszydła i niecierpliwe śmiertelnego łupu, żądne co prędzej wpić się w pierś, z której życie uciekło, upatrują już miejsca, gdzieby łacniej przyczepić się mogły i wyssać każdy atom zaczynającego się rozkładu.

Powonienia mego nie drażni już zapach lekarstw; usunęliśmy je, są już niepotrzebne; nie uciekamy się również do wody święconej ani do kadzielnic z cudownemi ziółkami; nie wzywamy nawet wiejskich znachorów z ich tajemniczemi zaklęciami — wiedza, wiara, zabobon, odstąpiło wszystko i zapanowała już ta ciężka, gnębiąca cisza, poprzednica wieczności i zwiastunka ostatecznego znicestwienia.

A jednak — wielu z nas nazywa już to szaleństwem — jednak w tej ciszy nadlatują-

cego grobu, po krótkiej chwili kolana mi się uginają, klękam przy łożu, przykładam ucho do tej piersi nawpół umarłej i słucham.

Nie jestem lekarzem, ani prorokiem, ani nawet jasnowidzącym europejskim znachorem — umiem tylko instynktem sióstr miłosierdzia cierpieć z cierpiącymi, konać i odradzać się z nimi. Gdy więc tak ucho przyłożę do piersi nad wszystko kochanej, umiem rozpoznać gatunek jej oddechu, umiem wyczuć, czy w tem zaledwie już uchwytnem tętnie serca szemrze echo zbliżającej się śmierci, czy może drgnie w niem wreszcie -- słabo zrazu, nieznacznie, niemniej niezawodnie — odgłos powracającego, odradzającego się na nowo życia.

I oto, po dłuższej, krótszej chwili takiego męczącego niepokoju, takiego z zapartem tchem badania, nadchodzi czas, iż muszę nagle oderwać głowę od tej piersi chorej i chce mi się roześmiać wzgardliwym śmiechem czyhającym nad łożem straszydłom, i porwać się na nogi, zerwać ciemne zasłony, otworzyć drzwi, okna, wpuścić powietrze, słońce, pieśni porannych ptaków, wesołe dzwony niedzielne. I czekam tylko, aż ta ciemna, duszna komnata zaroi się od białych skrzydeł aniołów, a zaszeleszczą w ich rękach wzniesione gałęzie powiewnych palm i nagle a niezwykle dla mego ucha trysnie w powietrzu rozgłośne, dźwięczne, tryumfujące Alleluja!

Niekiedy bywa inaczej. Ciężkie, długie godziny, siedzę u wezgłowia chorego. Chciałabym się modlić, ale mi już żaden pacierz na usta nie przychodzi; boję się myśleć o przyszłości i nie chcę badać obecnej chwili; głowy nie podnoszę, aby nie ujrzeć czasem olbrzymiego indeksu, któryby mi czarnemi głoskami ostatnie słowo wyroku nakreślił. Siedzę tak, oczekując, sam Bóg wie już na co — a jednocześnie czuję, iż gdyby kto ośmielił się próg tu przystąpić z zapaloną w ręku gromnicą śmiertelnych, powstałabym i szła na ten ogień zgonu i w prochbym starła i ten wosk święcony, i tę rękę, co ogień śmierci zapalić tu odważyła się.

Naraz dolecą do mej umilkłej myśli odgłosy zewnętrznego świata. Zegar dziejowy wybił jakąś wielką godzinę dla sąsiedniego narodu; głośny szczęk szabel rozstrzygnął spór w imię sprawiedliwości — tam światło wiedzy trysło snopem promieni — ówdzie runął kolos podłości i gwałtu — tu znów wzbił się w powietrze okrzyk pozostającego w niewoli plemienia... Wówczas jakiś nóż obróci mi się w piersi i wołam w sobie: a my? a my!.. Boże, Tyś o nas zapomniał! Tyś wyrzekł się nas! — I wówczas czarność ogarnia mię zewsząd — jakaś beznadziejna przepaść czarności -- chowam twarz w dłonie i łkam bez łez...

A czasem w tych długich, smutnych godzinach niekończącego się zmierzchu — za zasłoniętem oknem zanuci ktoś z cicha nutę niegdyś śpiewanej pieśni. Niegdyś... w „dymie pożarów", w świątyniach, szeroko dla uniesionego tłumu roztwartych, w jasnych tęczach nadziei, z szumem archanielskich skrzydeł na bój zwycięski powietrznym szlakiem mknących... Wówczas, na ten dźwięk starej pieśni, pieśni nadziei, światła, wolności — wobec tego pół-trupa — już nie żelazo w starej obróci się ranie, o... Boże, nie zsyłaj raczej na nas takich chwil przypomnienia — ludzieśmy i serca drgają nam, gdy rwać je żywe, i mózg do pewnej miary tylko przenosi katusze...

A potem znów czarno, jak chyba czarniej w grobie być nie może, gdzie lęgnie się gad rozpaczy, skąd zioła złych myśli trujący jad swój ciągną.

Lecz oto nadchodzi znów chwila — a nie jest to snem, i trzeźwi niech mi tego nie nazwą maligną, bo powiem, że raczej ich trzeźwość ma wszelki pozór gorączki, zachwyconej gdzieś na bagnach gnijących — otóż zdarza się chwila, że siedząc tak obok i nasłuchując oddechu chorego, podniosę głowę i w tem ujrzę nagle — po rysach przemknął mu promień — jakiś jasny, jakiś poranny — jeden, drugi — i znów — i znów! — jakieś dziwne w tym mroku błyski — i twarz chorego rozpromieni się całą bijącą z wnętrza łuną, a na ustach wykwitnie uśmiech, nie ów konających w zachwyceniu męczenników — ale ten znany pielęgnującym uśmiech zbudzenia się, który mimo pozorów zewnętrznego rozkładu mówi wyraźnie o niedotkniętej śmiercią rdzennej czerstwości, o całej, zdrowej i nienadwerężonej potężnej sile żywotnej dzisiaj obezwładnionego organizmu.

Wówczas — ręce mi splątają się modlitewnie, patrzę w tę twarz, i czuję szumiącą mi w uszach falę krwi, biegnącej do mózgu, serce mi staje — słucham — czekam — a usta coś szepcą.

O, ludu! jakżeś ty silny i jakiś ty wielki w swojej glorji męczeńskiej, jeśli potrafisz ducha w sobie przechować — i przemocy nie uledz.

. . . .

Po tym wstępie, który mimo mej woli zbyt smutnemi może dźwięczał nutami, opowiem wam, — może nieodpowiednio krótką i nieodpowiednio błahą — historję młodego chłopaka. Lecz zważcie, proszę — my wielkich historji, wspaniałych wypadków nie mamy. Wielkie klasyczne epopeje, krwawe tragedje 63-go roku, umierając wymieniły się na drobną, obiegową monetę małych, nikłych błysków; życie nam płynie — źle mówię — stoi w brzegach granitowej ramy, która rok za rokiem coraz się ścieśnia, ani ujścia zepsutym, ani przypływu świeżym wodom nie dając. To, co wśród nas krąży, co jest nerwem naszego narodowego życia, to są te drobne, nikłe na pozór i nieznaczące ziarna złotego piasku, które spodem wód kry-

jąc się, mieszają się wprawdzie z napływowym mułem wśród błotnych zielsk późniejszych czasów, waloru wszakże swego nie tracą i są tak jak były, bądź co bądź — złotem.

Nazywał się Józek — dajmy na to, Zaliwski. Tak, stare, piękne miał nazwisko, ale majorskie szlify jego ojca i ranga podpułkownika wyniesiona w dymisji, cokolwiek inny odcień mu nadała. Zbyt często dodawało się j o t do końcówki, i poczciwy pan Major tak przywykł przez trzydzieści lat swej służby wojskowej do tego dźwięku, że ani się spostrzegł jak owo j o t do duszy mu się przyczepiło, i nawet mocno w niej zapuściło korzenie.

Szczególniejszą zaś była ta dusza pana Majora. Rodem był z Królestwa — nie miejcie mi za złe, że powtórzę tu opinję uparcie wśród upartych Litwinów krążącą: oto nie dają się przekonać, że koroniarze są z tej samej gliny ulepieni co i oni, Litwini — owszem, twierdzą niezbicie, że kiedy na utworzenie Litwina Pan Bóg brał zwykłą sobie taką codzienną glinę, na rozstaju dróg litewskich w obfitości nieraz spotykaną i tworzył bez wielkiej fatygi— byle był wielki, byle krzepki, byle nie kruchy, mniej dbając o grację w układzie — na koroniarza wysilił bardziej twórczy swój dowcip: stworzył go naprzód z owiele wdzięczniejszej porcelany, nadał kunszt pewien robocie i połysk, wlał w umysł lotność, w dowcip przyjemną ostrość i nie zapomniał o cnocie, która nieraz zbawienną jest busolą w żegludze ziemskiego żywota — o mocnej wierze w nieomylność swojego rozumu.

Wobec podobnego układu rzeczy, nie dziw, iż Litwini uczuwają podwójną niechęć, mówiąc wyraźniej, zazdrość względem braci wybredniej uposażonych, a wynagradzając to sobie powtarzają przy każdej sposobności: Litwin za to jest gruntowniejszy, Litwin prostszy a prawdziwszy, Litwin wreszcie — trwalszy.

Otóż pan Major był rodem z Królestwa i jako taki, — podług zdania Litwinów — był kruchszy. Kruchy — a nie giętki. Giętkimi bywają Litwini i czem podlejszego który jest gatunku, tem bywa giętszy. Pan Major zaś był kruchy; co nie przeszkadzało mu, że skąd inąd najpoczciwszą miał duszę. Za żadne skarby świata nie byłby kogoś okpił, lub skrzywdził, nie byłby okradł ani zabił, ani nawet fałszywego świadectwa nie mówił. Nie przestępując nigdy przykazań boskich, a co najrzadziej kościelne, pan Major przestąpił jedno tylko jedyne przykazanie narodowe — przestał być Polakiem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wanda Dalecka.

L I L I.

ŻAŁOŚNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy).

Odprowadził ją, przesiedział u nich cały wieczór, ale wieczór był jakiś dzisiaj strasznie długi; oboje ukradkiem spoglądali na zegar, milkli co chwila, nie wiedzieli co mówić do siebie. To znowu, jakby odczuwając wspólny dręczący stan, starali się być dla siebie tem, czem dawniej, i wtedy zaczynały się szczebioty Lili, urywane, dyszące miłością słowa Leona, oczy się rozpalały, wracały uśmiechy na twarze, usta zaczynały drżeć do ust, ramiona się wyciągały do objęć i słowo „kocham" drżało im na ustach i w sercach, jak płomyk czarodziejski, ale go wymówić nie mogli, bo razem z tym dźwiękiem powracał dawny stan dręczącego niepokoju i obaw niewytłumaczonych. Zakrzewski, nie mogąc już wytrzymać, zapytał:

— Co ci jest?

— Nic, zupełnie nic, trochę mi tylko głowa boli — odpowiedziała śpiesznie.

— Znużyłaś się zabawą, potem się nie wywyspałaś i przez to głowa cię boli.

— Tam się nie bawiłam zupełnie.

— Więc pocóż było siedzieć całe dwa dni! — powiedział z wyrzutem.

Nie powiedziała; tylko rumieniec, jak cień przemknął po jej czole. Zaczęła poprawiać abażur na lampie, a on wstał, ubrał się i wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Dobranoc.

— Dobranoc panu! — szepnęła, podnosząc się automatycznie i zaledwie dotykając końcami palców jego dłoni.

Głos jej miał jakiś ton lodowaty, co go tak szarpnęło, że nie pocałowawszy jej w rękę, jak zwykle, wyszedł, dość energicznie zamykając drzwi. Już był przy drzwiach od ulicy, gdy usłyszał za sobą w ciemnej sieni przytłumiony głos.

— Panie Leonie!

Powrócił śpiesznie, bo radość zalała mu serce; chciał ją ująć w ramiona, ale cofnęła się w smugę światła, padającego z drzwi otwartych mieszkania.

— Zapomniałam się spytać, czy dużo sprzedał pan biletów?

— Za czterdzieście rubli! Lili i ty po dwóch dniach niewidzenia tak zimno mnie żegnasz, czy nie czujesz, nie widzisz, co się ze mną dzieje. Lili, czy mnie już nie kochasz?... — szeptał pełnym bólu i żalu głosem.

Podniosła na niego cudne oczy, pełne łez i bezbrzeżnej miłości.

— Kocham na śmierć... na życie... na wieczność całą... — wyszeptała i zawisła mu na ustach w długim, szalonym pocałunku, ale oderwała się natychmiast od niego i uciekła do mieszkania, zamykając drzwi na klucz.

Otarł łzy, jakie mu pozostawiła na twarzy, i wrócił do domu jeszcze bardziej niespokojny niż przedtem.

I dom go nie uspokoił, bo zastał list od matki z opłatkiem i z błogosławieństwami, pisanemi z płaczem, bo wiele liter było zalanych łzami. Nie wyrzucała mu nic, ani już nie pytała o powrót, ale w każdym słowie czuć było szaloną tęsknotę i większą jeszcze troskę o jego dolę. Wstrząsnął nim ten list do głębi i pogrążył w stan tak ostrego żalu, że długo chodził po pokoju, rozmyślając o domu i o powrocie, nim sobie przypomniał, że nie czytał drugiego listu. Obejrzał go ze wszystkich stron, bo nie znał charakteru pisma. List był bezimienny i zawierał najwstrętniejsze plotki i oskarżenia Lili. Pisano w nim, że była kochanką hrabiego i jeszcze kilku ludzi z okolicy, których wymieniono z nazwiska. Szargano wprost w sposób wstrętny jej matkę, a o ojcu, który umarł przed dziesięciu laty, powiedziano, że umarł w więzieniu za kradzież — i t. p.

Uśmiechnął się tylko z politowaniem, czytając długą litanję oskarżeń, bo im absolutnie nie wierzył, chociaż dawne podejrzenia nie wygasły mu w mózgu, więc list schował do kieszeni i rozmyślał, kto go mógł napisać, to go nawet uspokoiło znacznie, że zaczął uczuwać żal do siebie, iż był względem Lili zabardzo niesprawiedliwym. Postanowił jutro naprawić wszystko, i jutro również miał się rozmówić stanowczo o dniu wyjazdu, bo chciał wyjechać natychmiast po benefisie ; z tem poszedł spać.

Nazajutrz obudził się dosyć późno, ale w zupełnie dobrem usposobieniu. Czuł się zupełnie spokojnym i zrównoważonym, wszystkie dawne obawy i podejrzenia pierzchnęły. Przeczytał raz jeszcze ten list anonimowy, który wydał mu się jedynie bardzo głupim.

— Trzeba zacząć wyjeżdżać — pomyślał i wstąpił do telegrafu, gdzie podał depeszę do matki, że przyjeżdża w piątek wieczorem, a najdalej w sobotę rano.

To go wprawiło w dobry humor, bo wyobrażał sobie radość matki i idąc przez miasto do Lili, patrzył na ulice i domy okiem pożegnania.

Lili nie było, a matka sprzątała mieszkanie.

— Poszła do kościoła, ale zaraz przyjdzie.

— Do kościoła! nie wiedziałem, że chodzi do kościoła, nigdy z nią tam nie byłem.

— Mój panie, a za cóż to pan nas ma, jesteśmy przecież dobre katoliczki

— Pójdę po nią.

— Zaczekaj pan, zaraz przyjdzie, ona lubi sama bywać w kościele.

Ale Leon nie słuchał, tylko poszedł, bo matka tak gorąco prosiła, aby Lili nie przeszkadzał się modlić, że ona zaraz powróci, iż w nim zadrgało jakieś podejrzenie.

— Ciekawy jestem, czy ją zastanę w kościele! — myślał z trwogą.

Odszukał ją w jednej z bocznych, prawie ciemnych kaplic, klęczała przed ołtarzem i modliła się z takiem przejęciem, że cofnął się w cień nawy i patrzył na jej twarzyczkę cudną, napiętnowaną głębokim bólem. Łkania wyrywały się z jej piersi i łzy jak perły błyszczące zwisały czasem u czarnych rzęs i spadały na kamienną posadzkę.

W kościele było prawie pusto i ciemno, bo z gotyckich wązkich okienek, po przez kolorowe zakurzone szyby, sączyło się niewiele światła i rozświecało tylko górną część naw. Cały dół kościoła tonął w mroku, w którym od czasu do czasu rozbrzmiewało jakieś głębokie westchnienie lub szept modlitwy rozpływał się od stal w prezbyterjum, a czasem nikły, srebrny głos dzwonka zadrgał w ciszy od bocznego ołtarza, przy którym odprawiano mszę św., albo dziecinny głos ministranta krzykliwie zaświegotał w odpowiedzi księdzu i milkło wszystko i pogrążało się w ciszę i zmrok, w którym świeciły bladawo złote szaty świętych i wiły się czarne, wysmukłe pnie kolumn gotyckich.

Lili modliła się długo, nie przeczuwając nawet, że z cieniów patrzą na nią oczy kochane, że o kilka kroków stoi on, kochany nadewszystko, on, za którego całym żarem serca się modliła.

A jego tak głęboko rozrzewniła modlitwa i łzy jej, i ten wyraz męki wyryty w twarzy, że wyszedł, bo dusiło go coś w krtani.

Wkrótce wyszła, a spostrzegłszy, że czeka na nią, pobladła i podała mu rękę ze drżeniem. Przez drogę zobaczył, że jest bardzo mizerną, że jej liljowa, olśniewająco biała twarz ma jakiś szaro-żółty chorobliwy ton, a cały wyraz takiego ogromnego znękania i smutku, że serce mu się ścisnęło żalem i współczuciem.

— Ty chora jesteś Lili? Co ci jest, najdroższa? Powiedz...

— Nic mi nie jest. Wydaje się tak panu, bom mało spała w nocy.

— Nie mów mi: panie, całem sercem proszę cię o to, dobrze?

— Nie można, nie — odpowiedziała tak cicho, że ledwie usłyszał.

Nie miał już czasu pytać się, dlaczego nie można, bo przyszli do domu. Lili długo mówiła z matką po cichu i coś takiego, że matka ją pocałowała w czoło, przycisnęła jej głowę do piersi i wyszła zaraz, objaśniając, że nie wie, kiedy wróci, a wychodząc rzuciła na Zakrzewskiego spojrzenie pełne żalu i jakby wyrzutu.

— Odebrałem znowu dzisiaj list od mamy, może przeczytasz?

— Powinien pan jechać, matka musi bardzo, bardzo tęsknić za panem — powiedziała, oddając mu list po przeczytaniu.

— W piątek wyjedziemy, już wszystko obmyśliłem. Usiądź dziecko, przy mnie.

Usiadła i patrzyła w niego ze smutkiem.

— Rzeczy spakuje się zaraz po przedstawieniu i wyśle naprzód, żeby zdążyły na kolej, a my pojedziemy pocztą. W Warszawie staniemy rano, a z tamtąd zaraz dalej, tak, że u ciotki będziemy przed wieczorem. Bo ja tak obmyśliłem, pisałem nawet już do cioci o tem, zgodziła się z radością, oto zawiozę was do niej i tam zostawię; będzie tam mojej dziewczynie złotej dobrze, bo ciotka mnie kocha i jest bardzo dobrą kobietą. A ja pojadę do domu, to tylko trzy mile, a nawet polami bliżej. Matce zaraz powiem o wszystkiem i przywiozę ją najdalej w niedzielę, żeby się z moją słodką panią poznała. Co? dobry plan, prawda? Uśmiechnij się, jedyna!

Pochylił się, aby ją w skroń pocałować, usunęła się i z uśmiechem łzawym, tragicznym, zapytała cicho, bezdźwięcznie przymykając powieki, aby zatrzymać gwałtem cisnące się łzy.

— A co później?

— A to już z mamą razem się umówimy. Juści, że do ślubu zostaniesz u siebie, żeby ludzie plotek nie robili. Ale ją będę przyjeżdżał codziennie, bo przecież nie mógłbym wytrzymać jednego dnia bez zobaczenia mojej cudnej, mojej kochanej, mojej jedynej... I całował ją po twarzy, po włosach, wypijał łzy z oczów, gładził jej rozwichrzone włosy, nie broniła się, poddawała się z biernością i cisnęła się do niego, jak dziecko pokrzywdzone.

— A co później? — zapytała znowu cichszym głosem, odsuwając się nieco.

— Później! Będziesz moją żoną, ojciec da mi w dzierżawę jeden folwark, jak to już obiecał, i będziemy gospodarowali, a przedewszystkiem będziemy się kochali. Gadał rozpłomieniony i porwany bliskością urzeczywistnienia się marzeń, nie zwracał uwagi na dziwny jej stan, przypisywał go chorobie lub znużeniu.

— A może w piątek niewygodnie, chcesz, to się jeszcze zatrzymamy z dzień? No kiedy? powiedz, najdroższa, kiedy?

— Nigdy! — odpowiedziała bezdźwięcznie, ale z wielką stanowczością.

— Co? Co? — Nie wierzył uszom.

— Nie pojadę z panem w piątek.. nie pojadę nigdy... nigdy... — powtórzyła mocniej i powstała, ręce jej opadły bezwładnie, trupio, twarz posiniała nagle i ścięła się, jakby zmrożona determinacją i boleścią, a oczy patrzyły ostro, bardzo ostro, jak u ludzi, którzy śmierć spostrzegli przed sobą.

— Nie pojedziesz ze mną! Co to znaczy, co ty mówisz? Nic nie rozumiem, jak Boga kocham nie rozumiem... Musiałem się przesłyszeć... Nie pojedziesz? — zapytał takim tonem, jakby się ona przekomarzała, i uśmiechnął się pobłażliwie i wyczekująco, że na zaprzeczenie rzuci mu się w ramiona.

— Lili, nie można tak żartować dziecko, nie można! Chciał ją wziąć za rękę, odsunęła się i takim samym automatycznie akcentowanym głosem, powiedziała:

— Nie pójdę z panem, nie mogę być pańską żoną... nie mogę...

Zrozumiał teraz odrazu, że to prawda, że to nie przesłeszenie, ani żarty. Upadł ciężko na kanapę i długo siedział bez myśli i bez ruchu, wpatrzony w jej twarz martwą, cały huragan bólu przeorywał mu serce; wszystkie przyczajone pod świadomością żale, wszystkie podejrzenia i miłość wszystka, i zdruzgotane marzenia i ta nieopowiedziana żrąca rozpacz głodnej, zawiedzionej miłości i gniew, i strach i nienawiść — wszystko zgnębiło się w nim w wir i rozrywało mu duszę szalonym, potwornym bólem.

Lilli stała wciąż bez ruchu, jakby skamieniała, a łzy już niepowstrzymywane sypały się jak grad kryształów na spazmatycznie podnoszące się piersi.

— Dlaczego? — zapytał wreszcie Leon powstając.

— Nie mogę... Mój Boże, mój Boże! szeptała poczerniałemi od gorączki ustami.

— Nie kochasz mnie i nie kochałaś nigdy! — zawołał namiętnie.

Nie odpowiedziała.

— Więc to wszystko było kłamstwo, komedja, flirt!

Nie odpowiedziała, tylko ręce jej bezwiednie zaczynały szukać oparcia.

— To była farsa — ta wielka miłość; farsa — twoja dobroć, farsa — twoje przyrzeczenia. Potrzebowałaś mnie za parawan! Więc to wszystko, wszystko prawda! krzyczał.

Nie odpowiedziała.

Z największą wzgardą, pełną rozpaczy spojrzał na nią i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, postąpiła za nim kilka kroków automatycznie, chciała krzyczeć, chciała biedz za nim, zatrzymać — nie mogła, brakło jej sił, głosu, woli i przytomności..

Wcisnęła się w róg kanapki i tak przesiedziała do wieczora, głucha na wszystko, co się wokoło niej działo, znieczulona nadmiarem cierpienia. A potem, gdy pierwsze wrażenie przeszło, zaczęła płakać; wypłakiwała całą boleść swoją, całą boleść poświęcenia, jakie spełniła do dna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pism i książek.

Ludwik Krzywicki. *Cerebracja żywiołowa.* Przyczynek do psychologji spirytyzmu. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8. 1898 r.

„Są tacy“ — pisze u wstępu „Cerebracji“ p. Krzyw. — „którzy na wiarę przyjmują każdą opowieść spirytystów, chociażby brzmiała najniedorzeczniej. Inni natomiast wpadają w odwrotną ostateczność: nie poznawszy faktów, nie zbadawszy rzeczy, wydają naoślep wyrok potępiający. Zdaniem ich, rozpleniło się tylko oszustwo, wyzyskujące łatwowierność ludzką“. A autor rozprawki?... Oto — jak pisze: „pociągnięty rozgłosem, jakiego nabrała sprawa medjów u nas“ — zajął się przedmiotem ściśle i „zbliska“. Jakiż ogólny rezultat tych badań?... „Doszedłem“ — czytamy na str. II. „w końcu do przeświadczenia, iż spirytyzm dzisiejszy toruje może drogę pewnym metodom badania — w taki sam sposób, w jaki zasłużyli się rozwojowi myśli ludzkiej alchemicy. Poszukiwali oni płynu, zamieniającego każdy metal na złoto, i eleksiru, niszczącego niemoce ciała. Nie znaleźli, czego szukali, natomiast odkryli chemję. Spirytyści usiłują wejść w porozumienie z „duchami“, które płatają im figlów, co niemiara. W gruncie rzeczy robią oni doświadczenia nad własną jaźnią; nie znając zaś sposobów jej działania, biorą objawy swojej duchowości za czyny istot trzecich“. Takim jest tedy ogólny rezultat studjów p. Krzyw. nad spirytyzmem. Czy zupełnie on ścisły i wystarczający?... Tego — nawet sam autor twierdzić nie może i nie chce, ale że takie postawienie kwestji zbliża „tajemnicze“ badania do nauk — tego chyba nikt nie zaprzeczy. Gdy piszę te słowa — mimowolnie nasuwa mi się na myśl reminiscencja z przed 7 lat, gdy i ja sam z kilku kolegami należałem do różnych seansów; do rezultatów jakichś — żaden z nas nie doszedł, ale większa część była przecież przekonaną, że nie same zjawiska spirytystyczne są bezwzględnem oszustwem, ale metoda ich „nadprzyrodzonego“ oświetlania przez spirytystów. Taki sam pogląd — innemi słowy wypowiada także p. Krzyw., pisząc o t. zw. „nieświadomej cerebracji“. Termin ten jest — jak słusznie zauważa sam, jakiemś nieznanym x lub y, ale rozumiemy pod nim żywiołowe stany naszej duszy, które częściowo dochodzą do naszej świadomości, w większej jednak części leżą niejako odłogiem w zwojach mózgowych, aż je wywoła jakiś impuls zewnętrzny, jak np. stoliki wirujące, t. zw. pismo automatyczne — ostatecznie także sen zwykły i hypnotyczny. Nawet jednak w chwili wywołania objawów „żywiołowej cerebracji“ — są one dla „medium“ czynnościami nieświadomemi i to najwięcej przyczynia się do poszukiwania „duchów“ — świadomych. P. Krzw. przytacza cały szereg typowych doświadczeń spirytystycznych, nie wyłączając z nich ani t. zw. rozmowy z duchami, ani też wywoływania duchów, nazywania ich, pisania i mówienia nieznanymi językami itp. wszystkie jednak objawy (o ile rozumie się nie są prostą oszukańczą spekulacją) przypisuje „żywiołowej cerebracji“, tj. jak już wiemy — przejawom zewnętrznym własnej jaźni medjów — a nie interwencji jakichś istot nadprzyrodzonych. „Tam — pisze — w głębi jaźni nieświadomej, odbywają się powiązania i asocjacje idei, powstają nigdy może nieuświadomione sylogizmy, nawet ostateczne wyniki takiego rozumowania pozostają nieraz ukryte na zawsze. Cerebracja żywiołowa zmusza je tylko niekiedy do wyjścia na światło dzienne, lub wydobywa nawet całe przebiegi myślowe. Głosy te są niekiedy bardzo cennemi przestrogami, powściągi automatyczne wstrzymują rękę naszą od spalenia banknotu, idjotyczny stolik i nie mądrzejsza ekierka, podniecając ukryte właściwości, mogą wygłaszać rady bardzo rozsądne! Szamanizm, posługujący się systematycznie podobnemi środkami, był w życiu pierwotnem, odznaczającem się prostotą samouków, instytucją wieszcza“, dostarczającą nieraz pożytecznych wskazówek“. W takiem oświetleniu przedstawiając spirytyzm, może p. Krzw. śmiało pisać, że „na seansach wodzi spirytystów ich własne nieuctwo“, ale też i naodwrót domagać się, ażeby świat naukowy okazał w stosunku do zjawisk spirytystycznych „większą odwagę cywilną“ i tem samem poddał je ścisłej, umiejętnej analizie, ażeby kiedyś, po mozolnych, drobnych badaniach — dorzucić ważną cegiełkę do ogólnego rozwoju ludzkiej umysłowości.

Dr. Kazimierz J. Gorzycki.

Boska Komedja w przekładzie Edwarda Porębowicza opuściła świeżo prasę nakładem Gebethnera i Wolffa w wykwintnem wydaniu miniaturowem. — We wstępie do swej pracy utalentowany tłumacz podaje życiorys genjalnego Florentczyka, zamykając go następnemi słowy: „Tłumacz podejmując na nowo problem przekładu „Boskiej Komedji“, okazałby brak pietyzmu, gdyby nie uszanował poprzedników, z którymi złączyła go cześć boskiego poety i nie wymienił Korsaka, Stanisławskiego, Faleńskiego. Na dwu pierwszych patrzy z podziwem i zazdrością, gdyż dane im było dokonać dzieła; z ostatnim pragnie skutecznie współzawodniczyć, zwalczając tercyny“.

Owoż z wyrażonych tu uczuć „zazdrość“ wydaje się nie na swojem miejscu. Nie potrzebuje zazdrościć nikomu ten, co ubiera myśli Dantego w taką szatę polską, jak w następującym naprzykład urywku z „Piekła“:

Nieświadomości skrępowany pęty:
„Mistrzu — spytałem — skąd ten chór boleści,
Kto ów lud, taką snać rozpaczą zdjęty?

On rzekł: „Męczarnię takiej podłej treści
Znoszą w tem miejscu owe dusze bierne,
Które bez hańby żyły i bez czci...

Niebo ich nie chce, gdyż niosłyby zgubę
Jego piękności; piekło je wyklucza,
Gdyżby z nich mogli gorsi zyskać chlubę...

Wiedzą, że skonu dzień im się nie znaczy,
A ciemnym bytem tak są tutaj mali,
Że wszystko inne przenieśliby raczej.

Świat nie dopuści, aby w sławie trwali;
Litość ni Sąd się nimi nie opieka;
Nie mówmy o nich; spójrz raz i pójdź dalej.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.